

Maite Carranza
Lodowa pustynia - fragment

Ponownie uszyłam strój bogini Baalat. Jeśli za pierwszym razem kierował mną naiwny bunt, tym razem uczyniłam to z premedytacją. Miałam nadzieję, że Demeter o wszystkim się dowie i że pozostałe Omar wytkną jej moje świętokradztwo.

Tym właśnie była prowokacja: szukaniem skandalu, konfrontacji, lecz przede wszystkim dążeniem do znalezienia się w centrum zainteresowania i wywołania komentarzy.

Udało mi się! I to jeszcze jak!

Nie należę do dyskretnych, a wtedy, w wieku siedemnastu lat, tym bardziej taka nie byłam. Uwielbiałam zwracać na siebie uwagę. Nosiłam długie loki i eksponowałam dekolt, który mógł przyprawić o zawrót głowy. Tamtej zimy zaczęłam wkładać krótkie spódnice, dziergane koszulki, wysokie kozaki, kaszmirowe swetry w zimnych kolorach. Na wyprzedaży kupiłam czarna pelerynę z kapturem, przypominającą strój elfa. Na parę dni przed imprezą zamknęłam się w toalecie z Szahidą, moją pakistańską koleżanką, i poprosiłam, żeby nauczyła mnie malować się tak, jak ona to robiła.

Od tego czasu zaczęłam używać czarnej surmy.

(...)

– *Hello, Miss Cool* – przywitała mnie Carla tamtej nocy.

Podarowała mi zardzewiała śrubkę, która znalazła na podłodze, i skarpetkę bez pary.

– Jestem pewna, że wszystkie przebijesz.

Nie wiem, czy żeby sprawić jej przyjemność, czy z innego powodu, zaskoczyłam ją, pojawiając się na kolacji ze śrubką zwisającą z ucha jak kolczyk i skarpetką wsuniętą na rękę,

jakby to była rękawiczka.

Nieziemskie zjawisko!

Było jasne, że wolę zostać bohaterką wieczoru niż zginąć w tle.

W karnawałowa noc postanowiłam odegrać główną rolę. I nikt nie zaprzeczy, że mi się udało. Powiem ci tylko, że Carla, która zawsze była grzeczną dziewczynką i umalowała się, jakby szła na niedzielna mszę, oświadczyła, że nigdzie ze mną nie pójdzie.

– Nie mam ochoty być niewidzialna – wyjaśniła.

– Z takimi kolorami? Wyglądasz jak tęcza na niebie.

– No właśnie. Chłopcy najpierw zwrócą uwagę na mnie, wymienia między sobą spojrzenia, nieźle się przy tym bawiąc, by w końcu wybrać ciebie.

– Czyli całkowita porażka.

– Nazwałabym to raczej katastrofą. Nie można mieć takich czadowych przyjaciółek.

Carla była zabawna i bezpośrednia. Mówiła, co myślała. Zawsze mi zarzucała, że kiedy przechodzimy w pobliżu jakiejś budowy, pogwizdywania murarzy są kierowane wyłącznie pod moim adresem. Miała rację czy nie, wystawiła mnie do wiatru i w końcu musiałam udać się na imprezę sama.

Sama, tak się tylko mówi. Sala na wydziale inżynierii pękała w szwach, wypełniona przebierańcami wszelkiej maści. Od razu poczułam się osączona, w sensie dosłownym, przez stado niezwykle stworów. Każdy zapraszał, żebym się z nim napiła, lepili się do mnie jak muchy do miodu. Szczęścia próbował hobbit, Rzymianin, Spiderman, a nawet Darth Vader. Wymigiwałam się, jak mogłam.

Szybko zlokalizowałam znajomych ze studiów i przyłączyłam się do grupy, skupiając uwagę na głośniejszym rozmowie.

Lecz kiedy nadszedł czas parady, wszyscy zaczęli mnie zachęcać, bym wyszła na drewniany podest. Prawdę mówiąc, nie musieli tego robić. Czułam niezachwiana pewność siebie, wiedziałam, że mój strój i ruchy robią wrażenie. Jakby opanowała mnie jakaś obca siła. To były chwile triumfu. Z każdym krokiem, jaki stawiałam na wybiegu, zdobywałam kolejnych wielbicieli. Wiwatowali jak szaleni, gwizdali, tupali, a ja, będąc przedmiotem uwagi setek par oczu, nie odczuwałam z tego powodu najmniejszego zażenowania. Sukces mnie napędzał. Zdałam sobie sprawę, że owacje tłumu odurzają, a kreowanie własnego wizerunku, nagradzanego brawami, to samą rozkosz. Zrozumiałam próżność, jaka kieruje gwiazdami filmowymi.

I wtedy się zaczęło.

Schodząc z wybiegu, zostałam osączona przez bandę lizusów, wśród których był jeden szczególnie nachalny. Nie potrafiłam się od niego uwolnić. Przebrany za ducha – z prześcieradłem zarzuconym na głowę i ze sporych rozmiarów łańcuchem – przykleił się do mnie i nie dawał za wygraną. Był podпиты i wbił sobie do głowy, że muszę przejechać się z nim samochodem. Odpowiedziałam, że nic z tego, ale to nie pomogło. Odbiło mu; złapał mnie za rękę i mocno ścisnął. Nie widziałam jego twarzy, zakrywało ją prześcieradło. Takie są uroki karnawału; nikt nie jest tym, za kogo się podaje, wszyscy się kryją za przebraniami i maskami. A może jest zupełnie odwrotnie? Może to my sami szukamy maski, która definiowałaby nas najlepiej? W każdym razie duch chciał mnie porwać, a ja broniłam się zaciekle. Odpychałam go, wrywałam się, wydaje mi się nawet, że ugryzłam go w rękę – bez skutku. Duch miał prawie dwa metry wzrostu i ważył ze sto kilo. Już chciałam złamać surowy zakaz Omar i w obecności świadków użyć różdżki, ale zanim posunęłam się do ostateczności, spróbowałam poszukać pomocy wśród obecnych na sali. Zrozpaczona wydałam z siebie okrzyk.

Nikt nie zareagował, aczkolwiek wokół nas szybko uformował się krąg gapiów. Nie wierzyłam własnym oczom: nikt nie stanął w mojej obronie, nikt nie miał dość odwagi, by przeciwstawić się duchowi ciągnącemu mnie w stronę wyjścia.

Nikt – z wyjątkiem wikinga.

– Puść tę damę, nie ma ochoty z tobą iść.

Urzekł mnie tymi słowami. Zachował się jak księżę, a dostojeństwem postaci przypominał półboga. Wysoki, o ciemnej karnacji i przenikliwym spojrzeniu. W rękach trzymał tarczę i miecz, jego blond włosy zdobił hełm ze sterczącymi po obu stronach rogami.

Silnym ruchem odepchnął ducha, a gdy ten próbował stawić opór, jednym ciosem posłał go poza krąg gapiów. Następnie spojrzał na mnie i podał mi dłoń. Nogi się pode mną ugięły. Nigdy wcześniej nie przydarzyło mi się nic podobnego. Od wojownika emanowała światłość, która mnie hipnotyzowała.

W chwili gdy podawałam mu dłoń, poczułam w okolicy skroni gorące, przeszywające ukłucie. Jakby raził mnie piorun. Czas zwolnił bieg, zmysły się wyostrzyły, zawładnęły mną światło i muzyka. Czułam, że tracę siły, nogi miałam jak z waty.

Przyznaję, że była to chwila bolesna i magiczna zarazem. Salę wypełniały celtyckie rytmy, a ja, niesiona dźwiękiem skrzypiec i całkowicie bezwładna, odplynęłam poza hałas, poza spocone ciała, które mnie otaczały.

Widziałam jedynie twarz wikinga.

I nagle poczułam na biodrach dłoń, które unoszą mnie w górę.

Znalazłam się w ramionach wojownika. Na głowie miałam siniak, pamiątkę po duchu, który zdradziecko zaatakował mnie od tyłu, lecz nawet tego nie poczułam. Byłam wpatrzona w wikinga. Widziałam go, jak stojąc na dziobie smukłej łodzi, przecina powierzchnię wody, kołysany przez ciszę nocy. Widziałam, jak zdobywa niezwyciężona fortecę, nie bacząc na padające z murów ogniste strzały. Porwał mnie w ramiona, sunąc między połyskującymi światłami, a ja śmiałam się jak szalona. Czy to gwiazdy? Czy to noc? Zostałam uprowadzona przez wojownika? Wiking wyszedł spośród cieni, żeby zabrać mnie ze sobą na swa łódź.

Wydawało mi się, że coś do mnie mówi, że o coś pyta. Słyszałam, jak szepcze, ale nic z tego nie rozumiałam, gdyż jego głos mieszał się z głośnymi dźwiękami orkiestry i setkami

rozmów wokół. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć, jak mam na imię, i wówczas... wydaje mi się, że to było wtedy... pocałował mnie. W chwili gdy poczułam na wargach gorący dotyk jego ust, bańka mydlana pękła.

Ocknęłam się przekonana, że doznałam halucynacji. Najbardziej rzeczywistej, jaka przydarzyła mi się w życiu. Lecz pierwszym, co ujrzałam, były jego błękitne oczy, przenikliwe, utkwione we mnie.

Zacisnęłam i ponownie uniosłam powieki.

Nie było mowy o złudzeniu. On trzymał mnie w ramionach i unosił jak piórko, przeciskając się przez tłum. Zemdlałam jak jakaś idiotka, a mój wiking próbował wynieść mnie z piekła.

Uśmiechnęłam się do niego. Odwzajemnił mój uśmiech.

– Jak się czujesz? – spytał mocnym głosem z lekkim obcym akcentem.

Powoli zaczynałam odzyskiwać zmysły. Wzdrygnęłam się. Owładnęła mną błogość. Czulałam, jak jego dłonie spoczywają na moich biodrach, podtrzymują moje nogi. Mogłam stać o własnych siłach, ale wolałam, choćby jeszcze przez kilka sekund, spoczywać w jego ramionach.

– Jak wniebowzięta.

– Czy niebem dla bogini Asztarte są moje ramiona?

Nie posiadałam się ze zdziwienia.

– Rozpoznałeś, za kogo jestem przebrana?

Nikt dotąd nie skojarzył mojego ekstrawaganckiego stroju z fenickim bóstwem, mimo że dłonie miałam zafarbowane na czerwono, w pasie przewieszony sztylet *atame*, a moją fenicką tunikę ozdobił wyszywany waż.

Wiking puścił do mnie oko.

– Za to ty nie domyśliłaś się, kim jestem.

Przyznaję, że to stwierdzenie wzbudziło we mnie ciekawość.

– Nie jesteś wojowniczym wikingiem?

– Berserkiem? – Pokręcił głową.

– Masz miecz, tarczę, hełm... – zaczęłam wymieniać.

– Wiesz, jak walczyli berserkowie?

– Jak?

– Byli nadzy i znajdowali się w transie po spożyciu halucynogennych grzybów.

Ruszałam do boju, z piersią wystawioną na ostrza wrogów.

– Kim w takim razie jesteś?

– Bogiem bogów. Wikingowie mówią na mnie Odyn, dla Germanów jestem

Wodanem, dla Anglosasów Wodenem. Imię me w każdym z tych języków oznacza „szał”.

– Rozszalały bóg.

Poprawił mnie:

– Szalony. Ale w poetyckim znaczeniu. Inspiruję skaldów, jestem natchnieniem dla *vitki*, mistrzów skandynawskich run, dodaję sił wojownikom.

Wskazałam na jego zakryte oko.

– Piratom też?

Parsknął śmiechem, podczas gdy ja starałam się patrzeć pod nogi.

– Odyn stracił oko przy źródle Mimira, lecz w zamian ofiarowana mu została mądrość.

Jego kruki Huginn i Muninn towarzyszyły mu zawsze, widząc wszystko to, co ludzie chcieli przed nim ukryć.

Wróciłam pamięcią do czasów dzieciństwa, gdy Demeter opowiadała mi sągi pełne cudowności, i nagle sobie przypomniałam...

– Towarzyszyły mu też wilki.

Spojrzał na mnie z uznaniem.

– Istotnie, wierne Geri i Freki, lojalne i waleczne. A także ośmionogi rumak Sleipnir, na którego grzbiecie pokonywał drogę przez dziewięć światów.

Jego głos brzmiał jak pieszczota. Chciałam, żeby mi opowiedział o bohaterskich czynach Odyna, ukołysał mnie boskimi historiami. Zaspokoił moją żądzę wiedzy, nie dając się prosić.

– Odyn, dosiadając Sleipnira, przewodził corocznym dzikim łowom. W noc przesilenia zimowego – jego głos stawał się coraz bardziej chropowaty, przechodził w szept – Odyn na czele hordy poległych wojowników, psów i koni polował na dusze zmarłych. Żywi obserwujący ten spektakl musieli mieć się na baczności.

Zaciekawił mnie.

– Czyhało na nich jakieś niebezpieczeństwo?

– Mogli oszaleć, a nawet umrzeć.

– A na co Odynowi potrzebne były dusze zmarłych?

– Żeby odnowić duchową siłę ziemi. Gdyby tego nie uczynił, zapanowałyby duchy błądzące bez celu.

– Rytuał płodności – dodałam od siebie.

Znów spojrzał na mnie z podziwem. Zdążyliśmy tymczasem opuścić pomieszczenie. Poczułam orzeźwiająco lekką bryzę. Wiking położył mnie na trawniku kampusu, pod wielkim kasztanem. Trzymał moją głowę i delikatnie badał czaszkę, ze znanstwem próbując znaleźć miejsce, w które zostałam ugodzona. W pewnej chwili wydałam z siebie niekontrolowany okrzyk.

– Auuuu!

– Nie ma pęknięcia, ale nieźle ci przywalił.

– Kto?

– Duch. Uderzył cię łańcuchem... Nie zorientowałaś się?

Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę z tego, co mi się przydarzyło, i poczułam rozczarowanie. Łączyłam ból z emocjami i załobnieniem, bo znacznie romantycznej było sobie wyobrażać, że zemdlałam na widok tego, który teraz był przy mnie. Prawda jest jednak, że zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Nigdy wcześniej mi się to nie przydarzyło.

– A teraz ty opowiedz o swojej fenickiej bogini.

Zawahałam się. Jak tu porównywać heroicznego Odyna do nudnej damy z Byblos?

– Fenicjanie nie wymawiali jej imienia. Bali się.

– Jej uroda zniewalała wszystkich, którzy na nią spojrzeli.

Mówiąc to, wybawił mnie z kłopotu. Utożsamiał ją z boginią Tanit, jedna z wersji Wenus. Wykorzystałam jego pomyłkę, żeby go nie wystraszyć.

– Była niebezpieczna dla mężczyzn. Lepiej, jeśli na nią nie patrzyli.

– A te dłonie w kolorze krwi?

Wstyd mi było na myśl o okrucieństwie bogini.

– Fatum – rzuciłam pospiesznie.

Wiking nadal przyglądał się moim dłoniom.

– To prawda, fatum zawsze towarzyszy pięknu. Powinnaś doskonale o tym wiedzieć.

Czyżby właśnie powiedział, że jestem piękna? Aż bałam się o tym pomyśleć. Jego spojrzenie zniewalało mnie podobnie jak jego słowa. Znowu zaczynałam mieć zawroty głowy.

– Jak masz na imię? – spytałam, przybliżając ku niemu twarz.

– Gunnar.

– Czy to imię ma jakieś znaczenie?

– Oznacza wojownika.

– Skąd pochodzisz, Gunnarze? Skąd przybyłeś, żeby mnie porwać w środku nocy?

– Z daleka, z ziemi pokrytej lodem. Z Islandii.

Islandczyk. Gunnar, mój bóg wiking, był synem lodu i mgły. Przeszył mnie dreszcz. Doświadczałam halucynacji.

– Ja mam na imię Selene – wyszeptałam. – Po grecku znaczy „księżyc”. Moja rodzina pochodzi z Peloponezu.

Gunnar spojrzał na mnie z czułością.

– Księżyc, zmienny, kapryśny. Wychodzisz na nocne spacerunki, by czarować bogów?

Patrzyliśmy sobie intensywnie w oczy. I wtedy go pocałowałam.

Było to dla mnie tak naturalne, jakbym od zawsze przebywała w jego ramionach.

Myślę, że tej nocy zemdlalam, by narodzić się na nowo. Od tamtej pory nie byłam już tą samą dziewczyną co wcześniej.

Całowaliśmy się tak długo, że zabrakło mi tchu i straciłam poczucie czasu. Aż Gunnar musiał mnie powstrzymać.

– To szaleństwo.

Niewątpliwie, to było szaleństwo. Jeszcze nigdy coś podobnego mi się nie przydarzyło. Ale nie miałam zamiaru tracić czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Jakbym wiedziała, że czar by wtedy prysł.

I tak się właśnie stało.

Gunnar podniósł się, pogłaskał mnie po włosach i wyszeptał mi do ucha przerażające słowa:

– Zapomnij o tym, Selene. To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Tak nie można.

Czego nie można? Całować się? Zakochać bez pamięci? Przebywać w stanie uniesienia? Czego, u licha, nie można?